Joanna PETRY MROCZKOWSKA

OD „WOLNEJ MIŁOŚCI" DO „WTÓRNEGO DZIEWICTWA"
Uwagi o ewolucji kultury seksualnej w USA

„Psychologicznemu" człowiekowi XX wieku zależy przede wszystkim na dobrym samopoczuciu, poczuciu bezpieczeństwa i komfortu psychicznego, jednym słowem: na spokoju, i pomóc mu ma w tym właśnie terapia [...]. Zdrowie psychiczne oznacza [...] w praktyce odrzucenie zahamowań i zaspokajanie popędów.

Wiek XX ma poważne kłopoty z uznaniem, że namiętność w tajemniczy sposób może przerodzić się w spokojne i owocne życie małżeńskie – pisze o tym wybitny amerykański historyk i krytyk społeczny Christopher Lasch w pośmiertnie wydanym zbiorze esejów zatytułowanym *Women and the Common Life. Love, Marriage and Feminism* (1997). Nietrudno zauważyć, że w kulturze amerykańskiej nie tylko małżeństwo, ale również i miłość romantyczna jakby wypadły już dawno z łask. Wielka literatura ludzkich namiętności ustąpiła miejsca melodramatowi oper mydlanych i harlequinowych romansów. Nie kontrolowane, nie do końca wyjaśnione, mroczne tajemnice onieśmielają, napełniają lękiem. Nauka zwiększyła kontrolę ludzi nad przyrodą, lecz jednocześnie sprawiła, że człowiek bardziej niż kiedykolwiek boi się tego, czego nie może kontrolować. Natomiast seks poddaje się analizie, jest po prostu częścią nauki. Eksperci mogą go opisywać w podręcznikach biologii czy w liczących na masowego odbiorcę poradnikach. „Natomiast współczesna sztuka i myśl – obserwuje dalej Lasch – skierowały się ku innym niż eros tematom, włączając w to nieunikniony brak zrozumienia między mężczyznami i kobietami, niezgodność charakterów, niestałość przywiązań i niepewność wszystkiego na świecie, z wyjątkiem dojmujących małych, natychmiastowych i mniej lub bardziej zamiennych przyjemności".

Do podobnych wniosków prowadzi choćby rzut oka na teksty przebojów muzyki popularnej. Miłość czy jak należałoby uściślić: impuls erotyczny i związane z nim emocje zawsze były przecież najważniejsze w tej formie wyrazu. Co więcej, muzyka popularna stanowi źródło inspiracji i jest dziś bardziej niż kiedykolwiek szkołą uczuć dla młodzieży amerykańskiej.

I tak w pierwszej połowie stulecia kobiety śpiewały o tym, że miłość stanowi główną rację ich bytu (niezależnie od tego, czy mężczyzna był jej godny czy nie), mężczyźni opiewali czar kobiety, której udało się zapanować nad ich myślami i skraść im serce. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych teksty

piosenek odzwierciedlały hasła kontrkultury i rewolucji seksualnej, powstawały w atmosferze wzrastającego dobrobytu i w klimacie permisywizmu zrywającego z tradycyjnymi autorytetami i dotychczasowymi obyczajowymi tabu. W pewnym sensie była to reakcja wobec materializmu oraz cywilizacji, która powołując się na ideały miłości bliźniego, dopuszczała, a nawet popierała przemoc: coś, co nazywano miłością, stało się przedmiotem kultu, miało bowiem zbawić świat. Seks, nawet orgiastyczny, z elementami religijnego misterium, pojmowany był jako narzędzie poszukiwań duchowych, których celem było zjednoczenie z drugim człowiekiem, ze światem. „Make love not war" – głosił najpopularniejszy chyba hippisowski slogan kontrkultury.

W środowiskach nie będących pod wpływem haseł kontrkultury zautomatyzowanie, monotonia, brak satysfakcji z pracy i zubożenie życia wspólnotowego zdawały się również przyczyniać do tego, że nastawione przede wszystkim na siebie pokolenie lat siedemdziesiątych, zwane „pokoleniem Ja", coraz częściej szukało w seksie zaspokojenia rozmaitych potrzeb emocjonalnych. Aktywność seksualna stała się zajęciem rekreacyjnym. W popularnych piosenkach mężczyzna mówił o tym, że nie spieszno mu do podejmowania zobowiązań, i podkreślał potrzebę niezależności. Z czasem słowa piosenek stawały się coraz bardziej dosadne. Brak jakichkolwiek zahamowań zwany otwartością odkrył pustkę i cynizm, lecz gdy nurt ten (nie cofając się przed bezprecedensową wulgarnością) bez ogródek wyraża wyzwoloną z tradycyjnych norm zmysłowość, inny zdaje się świadczyć o nostalgii za uczuciem trwałym i stanowi reakcję wobec konsumpcyjnych i narcystycznych tendencji ostatniej doby. W amerykańskiej rzeczywistości bowiem w pewnej mierze ciągle jeszcze obecna jest rewolucja seksualna. Towarzyszy jej jednak zdecydowana reakcja i sprzeciw.

NARCYSTYCZNA MIŁOŚĆ WŁASNA

O tym, że kultura wybujałego, rywalizującego indywidualizmu oraz zagwarantowane w konstytucji prawo do poszukiwania szczęścia doprowadziły do ślepego zaułka narcystycznego zajęcia się sobą, pisał Christopher Lasch głównie w książce *The Culture of Narcissism: American Life in an Age of Diminishing Expectations* (1979) [Kultura narcyzmu], przywołującej niepokojący obraz społeczeństwa amerykańskiego lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Od tamtego okresu narcystyczny typ charakteru zakorzenił się na dobre, ale do umiarkowanego optymizmu skłania fakt, że wielu Amerykanów jest już przekonanych, iż jest to zjawisko negatywne z punktu widzenia skutków jednostkowych i społecznych.

Pojawienie się zaburzeń charakterologicznych jako formy patologii psychiatrycznej na masową skalę, wraz ze zmianami struktury osobowości, jakie te zaburzenia za sobą pociągają, związane jest – zdaniem Lascha – ze specyfi-

cznymi przeobrażeniami amerykańskiego życia społecznego i kultury – poczynając od wzrastającego znaczenia biurokracji, natłoku obrazów, terapeutycznych ideologii, racjonalizacji życia wewnętrznego czy kultu konsumpcji. W późniejszych pracach Lasch wielokrotnie dawał wyraz przekonaniu, że ogromne znaczenie dla przemian psychospołecznych w USA miał masowy exodus ludzi z miasta do suburbii, który zdaje się „instytucjonalizować zasadę wolnego i nieograniczonego wyboru".

I rzeczywiście. Jak unaocznia to zewnętrzny i wewnętrzny aspekt wszechobecnej „suburbii", problemem dzisiejszych Amerykanów nie jest nawał nieskończonych możliwości, lecz banalność życia. Ktoś porównał ich do zwierząt, których instynkty stępiły się zupełnie w niewoli, dodajmy: w niewoli gloryfikowanej swobody. Nie chodzi tu wyłącznie o ucieczkę od życia publicznego do prywatności, nie chodzi też o indywidualizm, egoizm, które istnieją nie od dzisiaj. Dla naszych wywodów istotny jest fakt, że osobowość narcystyczna charakteryzuje się przede wszystkim strachem przed emocjonalnym uzależnieniem od innych. (Za narcystyczne cechy drugorzędne Lasch uważa fałszywy wgląd we własną osobowość, wykalkulowane uwodzicielstwo i nerwową autoironię.) Narcyści zbudowali tyle barier mających chronić ich przed emocjami, iż nie pamiętają nawet, co to znaczy być owładniętym przez namiętność, skarżą się natomiast na niemożność czucia. Taki człowiek – stwierdza dalej Lasch – opanowany jest gniewem, który wypływa z wysiłku zmierzającego do okiełznania namiętności. Pozbawiony cech wyróżniających, bezbarwny, „gładki" w towarzystwie, ogarnięty jest przez niepokój, niezadowolenie, depresję, poczucie pustki.

„Psychologicznemu" człowiekowi XX wieku zależy przede wszystkim na dobrym samopoczuciu, poczuciu bezpieczeństwa i komfortu psychicznego, jednym słowem: na spokoju, i pomóc mu ma w tym właśnie terapia. Ale nawet wtedy, gdy terapeuta mówi o potrzebie „poczucia sensu" i „miłości", definiuje te pojęcia jako zaspokojenie emocjonalnych potrzeb pacjenta. Zdrowie psychiczne oznacza dla niego w praktyce odrzucenie zahamowań i zaspokajanie popędów. Prawie nigdy nie przychodzi terapeutom na myśl – i z racji specyfiki samej terapii jest to niemożliwe – aby zachęcić pacjenta do podporządkowania własnych potrzeb i interesów potrzebom drugich. Miłość jako poświęcenie czy „zapomnienie" o sobie, „poczucie sensu" jako podporządkowanie wyższemu celowi – takie sublimacje wydają się terapeutom nieznośnie opresyjne, obrażające zdrowy rozsądek oraz szkodliwe dla zdrowia i dobrego samopoczucia.

Powinność – nie można mieć co do tego złudzeń – nie jest tu popularnym pojęciem. Jak zauważa Joyce Little we wstępie do swej książki *The Church and the Culture War* (1995), w dzisiejszym świecie rozpleniło się pragnienie posiadania wszystkiego na dwa zazwyczaj wykluczające się sposoby, bez konieczności dokonywania wyboru: albo to, albo tamto. Najlepiej jest to widoczne w odniesieniu do małżeństwa. Taka „inkluzywna" mentalność przekształciła

na przykład krajobraz seksualny w mieszaninę seksu przedmałżeńskiego, pozamałżeńskiego, hetero, homo- i biseksualnego, z wieloma partnerami bądź z „seryjną rozwiązłością monogamiczną".

W klimacie tym najbardziej ucierpiała idea zobowiązania (commitment), która wymaga robienia czegoś lub wstąpienia w jakiś związek z wykluczeniem robienia innej rzeczy czy wstąpienia w inny związek. Niepodejmowanie zobowiązań rozumiane jest jako wolność i swobody tej broni się w oparciu o założenie, że ludzie się zmieniają i nie można od nich oczekiwać respektowania długoterminowych zobowiązań. Z języka zniknęły już takie wyrażenia, jak: silna wola, umiejętność odmówienia sobie czegoś, cierpliwość, ofiarność, poświęcenie, altruizm.

„Wyzwolenie ludzkości z okowów takiego przestarzałego modelu miłości, obowiązku stało się misją postfreudowskich psychoterapii" – stwierdza profesor Allan Bloom. To właśnie Freud uważał, że wolność polega na izolacji i jedyną drogą do uzyskania pożądanej niezależności jest uznanie, iż nie potrzeba nam bliźniego. Allan Bloom poświęca temu zagadnieniu sporo miejsca w swojej znanej polskiemu czytelnikowi książce *Umysł zamknięty* (1997), gdy usiłuje odpowiedzieć na pytanie, dlaczego wielka klasyka literacka zupełnie nie przemawia do dzisiejszych studentów, którzy nie są w stanie identyfikować się z bohaterami wielkich ludzkich dramatów. Młodzi ludzie nie doświadczają miłości, bo miłość wymaga zapomnienia o sobie, a oni przecież o sobie ani na chwilę zapomnieć nie mogą, stanowią bowiem jedyną miarę wszechrzeczy. Młodzi ludzie boją się dziś zaangażowania i zobowiązań, a miłość jest właśnie zobowiązaniem. Tymczasem można być seksualnie zainteresowanym drugą osobą, ale – zgodnie z dzisiejszą mentalnością – nie dostarcza to dostatecznego powodu, by żywić rzeczywiste i długotrwałe zainteresowanie tą osobą. W wolnych związkach, opartych na dążeniu do zapewnienia sobie doraźnej przyjemności, nie ma miejsca na zazdrość (będącą skądinąd wypaczeniem zasady wyłączności), żadna ze stron nie powinna oczekiwać wierności, męska opiekuńczość trafiła zaś do lamusa. „Młodzi – i nie tylko – praktykują ten niedołężny eros, który nie jest uskrzydlony i nie zakłada tęsknoty za wiecznością i przeczucia związku własnej istoty z Bytem. Są praktycznymi wyznawcami Kanta, uważają bowiem, że nic, co zabarwione jest pożądaniem lub przyjemnością, nie wchodzi w zakres kodeksu moralnego. Nie odkryli jednakże czystej moralności. Pozostaje ona pustą kategorią służącą do dyskredytowania wszystkich poważniejszych skłonności, które dawniej miały charakter moralizujący". Paradoksalnie zbyt duży nacisk położony na autentyczność doprowadził do tego, iż nie można dziś ufać własnym instynktom, a zbyt poważne traktowanie seksu sprawiło, że nie sposób go brać poważnie. Według profesora Blooma zanik erotycznej pasji i związanych z nią wzlotów i upadków, rozpaczy i nadziei, a także poczucia związku między miłością a śmiercią, owa beznamiętność, będąca najbardziej zadziwiającym skutkiem rewolucji seksualnej,

doprowadziła do spłaszczenia, spłycenia duszy, a seksualna wiedza naszych czasów zmierza do uczynienia z owego spłycenia duszy zjawiska powszechnego. To właśnie Freud, według słów Blooma, położył pieczęć nauki na rozumieniu seksu w oderwaniu od erotyzmu. „Przyjaźń, podobnie jak pokrewne uczucie – miłość nie zdarzają się już pośród nas, gdyż oba opierają się na pojęciu duszy i natury, których z racji mieszaniny teoretycznych i politycznych powodów, nie należy nawet brać pod uwagę".

W FEMINIZMIE NIE MA MIEJSCA DLA MIŁOŚCI

W swojej książce zatytułowanej *Esteem Enlivened by Desire* (1992) Jean Hagstrum udowadnia ciekawą tezę, że osiągnięcie „ideału erotycznego", czyli zakładające równość płci połączenie wzajemnego szacunku i miłosnego pożądania, może być uważane za jedno z wielkich osiągnięć kultury Zachodu. Jakkolwiek przez długie stulecia erotyczna namiętność nie była wiązana z małżeństwem, to już literatura starożytnej Grecji przynosi przykłady istnienia nurtu stojącego w opozycji do ogólnie przyjętego założenia o nierówności małżonków i podejrzliwości wobec kobiecej seksualności. Chociaż nurt ten do XIX stulecia był tylko poboczny, romantyczna miłość znacznie mitygowała patriarchalizm w stosunkach społecznych. Do zobaczenia w kobiecie partnera męża i dowartościowania seksualności przyczyniło się przede wszystkim chrześcijańskie przekonanie, że nie należy z zasady potępiać materii ani absolutyzować „czystej" duchowości.

Radykalny feminizm patrzy na tę sprawę zupełnie inaczej. Małżeństwo (pojęciem miłości nie operuje się w ogóle) feministki poczytują za jedną z najpoważnieszych komplikacji życia, wiążącą się z reguły z degradacją kobiety, a przynajmniej ze zmniejszeniem jej szans życiowych. To właśnie pod hasłem zerwania z wszechobecnym patriarchalizmem od wielu lat potępiają one tradycyjną obyczajowść i zakładają pełne wyzwolenie seksualne kobiet. Starają się seksualność oderwać, „wyemancypować" z głębszej warstwy uwarunkowań psychicznych, psychofizycznych i społecznych, stoją bowiem na stanowisku, że liczy się głównie to, „jak ja to odbieram" i „czy sprawia mi to przyjemność" zgodnie z tak zwanym kobiecym punktem widzenia, który w istocie jednak stanowi jedną z najbardziej kontrowersyjnych kwestii w prowadzonych dyskusjach i sporach. Oddzielenie seksu od prokreacji objawia się agresywnym poparciem radykalnego feminizmu dla aborcji, antykoncepcji i homoseksualizmu.

Tymczasem, jak – nie pozostawiając na ten temat żadnych wątpliwości – mówi podtytuł niedawno wydanej książki profesor Elizabeth Fox-Genovese *Feminism Is Not the Story of My Life* (1996) [Feminizm nie przystaje do mojego życia], warto zdać sobie sprawę z tego, że „dzisiejsza elita feministek

straciła z oczu rzeczywiste problemy kobiet". Analiza porównawcza subiektywnego stanu satysfakcji w amerykańskim społeczeństwie, zawarta w bogato udokumentowanej danymi statystycznymi pracy Davida G. Myersa *The Pursuit of Happiness* (1992), stanowi potwierdzenie takiej oceny. Młodzi Amerykanie w dalszym ciągu udane małżeństwo stawiają wysoko na liście swoich celów życiowych. 91% rozmówców z dezaprobatą wypowiada się o zdradzie małżeńskiej, a większość małżonków uważa się za szczęśliwych (w tym dwie trzecie za bardzo szczęśliwych, podczas gdy cztery piąte oświadcza, że poślubiłaby tę samą osobę jeszcze raz). Nie powinno więc nikogo dziwić, że cytowane przez Fox-Genovese liczne rozmowy z kobietami reprezentującymi wszystkie środowiska amerykańskiego społeczeństwa przynoszą konkluzję, iż feministki, które małżeństwo uważają za niemożliwe do pogodzenia z potrzebami kobiet i dzieci, absolutnie nie rozumiały znaczenia, jakie miłość, życie rodzinne, a przede wszystkim macierzyństwo mają dla większości kobiet. Te z reguły wcale nie czują się szczęśliwe z powodu „wyzwolenia" od mężczyzn i dzieci. A skoro trudno zanegować fakt, iż seksualność często łączy niebezpieczeństwo (agresji, gwałtu i wykorzystania) z obietnicą (miłości, trwałego związku i nowego życia), zatem musi ona znaleźć się w centrum spraw składających się na kodeks moralny. I tak, podczas gdy dla niektórych feministek zdrada małżeńska staje się pożądaną bronią mającą zapewnić kobietom wyzwolenie spod jarzma narzuconego przez mężczyzn, kobiety pochodzące z różnych warstw społecznych podzielają awersję do braku lojalności i uważają ten problem za kwestię moralną.

Libertyni z radykalnymi feministkami włącznie oraz liczni przedstawiciele środowisk liberalnych nie od dziś domagają się niczym nie ograniczonego celebrowania seksu i krytykę takiego podejścia poczytują za dowód religijnej bigoterii, oskarżając o nią głównie amerykańską „prawicę religijną". Z ich szeregów słyszy się żądania, „by nie doszukiwać się znaczenia seksu, co więcej, należy pozbawić seks znaczenia". Zwracają uwagę, że sytuacja w Stanach Zjednoczonych negatywnie odstaje od sytuacji w Holandii i Skandynawii, gdzie panuje większa tolerancja wobec homoseksualizmu, pornografii i w kwestiach wychowania seksualnego. Rewolucja seksualna lat sześćdziesiątych upierała się przy twierdzeniu, że seks nie ma konsekwencji, począwszy jednak od lat osiemdziesiątych ów „sielski" obraz zmieniło pojawienie się AIDS. To właśnie rozszerzanie się tej choroby ideolodzy libertynizmu uznają za najdotkliwszy cios. Najczęściej swój niepokój formułują następująco: propagowanie wstrzemięźliwości „jest nie tylko purytańskie i nieskuteczne w ograniczeniu działań seksualnych, lecz także podsyca przesądy wobec ludzi, którzy wyrażają się seksualnie w sposób bardziej zdecydowany, i insynuuje, że choroba jest karą za grzech" (Judith Levine, *Tikkun*).

TĘSKNOTA ZA PORZĄDKIEM I SENSEM

Hasłem radykalnego feminizmu był i nadal jest postulat, aby uznać standardy moralne za sprawę prywatną, nie zaś publiczną. Ale jeśli seks „wyzwolimy z pęt moralności", rozrodczość wyłamie się z niej także. Dziś zauważa się już, że pluralistyczne i wielokulturowe Stany Zjednoczone cierpią na brak społecznego konsensu co do norm moralnych w życiu publicznym. Nie ma jasnej i jednoznacznej odpowiedzi na pytania: jakie są etyczne granice miłości? jaki jest związek między moralnością a płciowością, między moralnością a rozrodczością, między osobniczą a publiczną moralnością? Jednakże ciągle jeszcze wielu Amerykanów uważa, że prywatne zachowanie ma konsekwencje społeczne, że moralność ma charakter publiczny, a przeniesienie jej do sfery prywatności doprowadziłoby do zaniku moralności. Po obaleniu moralności seksualnej podobnie rozprawiono by się z innymi sferami, bo jeśli doznanie przyjemności jest celem nadrzędnym, osiąganie jej poprzez inne działania, będące dotychczas w sprzeczności z zasadami moralnymi (na przykład kłamstwo), stanie się następnym celem.

Seksem i moralnością końca wieku, jak ujmuje to podtytuł, zajmuje się w niedawno wydanej książce *Last Night in Paradise* (1997) Katie Roiphe, młoda pisarka, znana już z publikacji na tematy społeczno-obyczajowe. Ona również jest zdania, że widmo AIDS zmienia podejście Amerykanów do spraw związanych z seksem, choć zauważa, że choroba ta pojawiła się w momencie, kiedy hedonizm tracił już na popularności. Z reporterskim profesjonalizmem, choć nie bez niechęci wynikającej z jej własnych liberalnych przekonań, opisuje coraz silniejszy, a skierowany głównie do młodzieży szkolnej, trend propagujący abstynencję seksualną. Jego hasłami są na przykład: „Dziewictwo nie jest brzydkim słowem" czy „Prawdziwa miłość czeka". To właśnie tutaj, z właściwym Stanom zdumiewającym optymizmem, wiarą w powrót niewinności, stworzono oksymoron: „wtórne dziewictwo", w pragmatycznym wymiarze podkreślający możliwość – i celowość – zmiany zachowania, używany nawet przez niektórych polityków zatroskanych aktywnością seksualną młodzieży, wysokim wskaźnikiem zapadalności na choroby weneryczne i nagminnością ciąży nieletnich. Obserwacje Katie Roiphe przynoszą jednak wątpliwość, czy – wobec wyjątkowo legalistycznie przestrzeganego wymogu utrzymania w pełni sekularnego charakteru szkół publicznych i instytucji państwowych, nie odwołując się do Boskiego autorytetu i kanonu moralnego porządku – argumenty i wystąpienia nawołujące do abstynencji, wstrzemięźliwości i godności osobistej nie brzmią czasem pusto. Z założenia bowiem przemilczają wiele prawd wykraczających poza powszechnie uznane problemy indywidualne i społeczne, z ryzykiem śmiertelnej choroby na czele.

Liczne dzisiaj głosy zdają się świadczyć, że Amerykanie mają poczucie tego niedosytu. Dokonując krytyki książki Roiphe Marie Arana-Ward pisze w „The

Washington Post": „Na szeroką skalę społeczeństwo amerykańskie wykazuje tendencję odrzucania amoralności, nie dlatego że jednostki lubią regulaminy [aluzja do głośnego, szeroko komentowanego, wprowadzonego w 1993 roku przez jeden z uniwersytetów amerykańskich kodeksu zachowań seksualnych wymagającego werbalnej zgody partnera na przejście do „następnego etapu" działania – uwaga J.P.M.], lecz dlatego że społeczeństwo jako całość chciałoby osiągnąć «wtórne dziewictwo», pozbyć się pozostałości po rozwiązłym stylu życia – rozbitych rodzin, spaczonych dzieci, ludzi skarlałego ducha – i rozpocząć od nowa".

O tym, jak niebezpieczne były i są tendencje do oddzielania seksu od miłości, interesująco pisał znany w Polsce angielski historyk i publicysta Paul Johnson w niedawno wydanej książce *The Quest for God. A Personal Pilgrimage* (1996) [Szukanie Boga. Osobista pielgrzymka]. Jeden z jej rozdziałów poświęcony jest rozważaniom na temat kwestii płci i rodzaju w zamyśle Bożym. Skoro Bóg jest wszechmogący – rozumuje Johnson – nie musiał stosować rozróżnienia na płci w świecie organicznym – świat nieograniczony obywa się przecież bez nich. Odpowiedzią na tę zagadkę może być koncepcja miłości jako ostatecznej siły organizującej i utrzymującej świat. Co z tego wynika? Otóż powinniśmy mieć odpowiedni szacunek dla płci, gdyż dla naszego Stwórcy było to sprawą zasadniczą. To, że kwestie seksu są w Bożym planie bardzo istotne, potwierdzają dzieje świata obfitujące w przypadki ogromnej siły ludzkiej erotyki. Kościół – ciągnie dalej Johnson – ma rację, że podchodzi do spraw seksu tak poważnie. Miłość ludzka rywalizuje z miłością do Boga i często bierze nad nią górę. Pozbycie się egoizmu, poskromienie ego, to najtrudniejsza rzecz w miłości płciowej, a zarazem jedyna droga, by zbliżyć się do miłości Bożej.

Inni komentatorzy, zwłaszcza teologowie, zwracają uwagę, że wszelka nie kontrolowana pożądliwość, żądza, zakłada nadmierne przywiązanie do świata, burzenie jakiegoś porządku. Jest wyrazem buntu, wyraża postawę roszczeniową, brak wdzięczności za to, czym zostaliśmy obdarzeni. Dotyczy to oczywiście nie tylko seksu. Żądza władzy, przyjemności, chciwość względem dóbr materialnych stają się złe przez nieumiarkowaną chęć posiadania, która zamienia się w jakieś ubóstwienie, bałwochwalstwo, gdyż czyni ze spełnienia przedmiot kultu pochłaniający energię jednostki. Wydaje się, że szczególnie w kulturze amerykańskiej – wraz z jej wybujałym ethosem wolnego rynku napędzanego interesami wielkich korporacji oraz agresywną reklamą – naturalna i wciąż pochwalana w wielu środowiskach jest ciągła zachłanność, nienasycone pożądanie tego, czego dany osobnik nie ma, jeszcze nie posiada, a co mu się należy. Widzimy tu więc znamienny związek pożądania z materializmem i konsumpcją. Co więcej, taką chciwość nader często uważa się za zasadniczą cechę ludzką, która wynika z niezbywalnego prawa do szukania zaspokojenia zachcianek branych za istotne potrzeby.

Po obowiązującym przez dziesiątki lat haśle: „Rób to, co ci sprawia przyjemność" Amerykanie skłaniają się dziś ku hasłu: „Wszystko, co robisz, musi mieć jakiś sens". Wolno mieć nadzieję, że nasila się przekonanie, iż znalezienie tego sensu jest sprawą zasadniczą dla jednostki i społeczeństwa. Coraz liczniejsi wiedzą lub przeczuwają, że powinna im w tym pomóc religia.